

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[3]

ZE WSPOMNIENI

MOJEJ MŁODOŚCI.

Ile razy słyszę ludzi, wydających sąd lekko-myślny o bliźnich, zawsze sobie przypominam zdarzenie, które mię na zawsze oduczyło tego złego zwyczaju. Byłem wówczas jeszcze młodym chłopcem, uczniem gimnazjum; pamiętam, pewnego zimnego wieczora szedłem z jednym z kolegów do mieszkania jego rodziców, gdzie miałem wieczór spędzić. Mróz był tęgi, śnieg prószył, pomimo ciepłych futerek uziębiliśmy porządnie i przyspieszaliśmy kroku, byliśmy już przy bramie domu, do któregośmy wejść mieli, gdy nagle Kazio, mój kolega, przypomniał sobie, że ojciec kazał mu kupić numer Gazety Warszawskiej, a on o tym zupełnie zapomniał. Zawróciliśmy się jak niepyszni, wdychając na myśl, że kawał drogi przejszć będziemy musieli do miejsca, gdzie stają zwykle chłopcy z gazetami, aż w tém niespodzianie przemknął tuż koło nas mały roznosiciel, wołając donośnie:

— Gazeta Warszawska! bardzo ciekawa!

— Stój, stój, chłopcze! — krzyknął Kazio uradowany — dajno mi numer gazety.

Chłopak podbiegł, Kazio wyjął portmonetkę, ale tu nowy kłopot, okazało się, że nie miał drobnych, tylko całego rubla. Ja nawet portmonetki

nie wzięłem z sobą, wychodząc z domu, nie mogłem mu więc przyjść w pomoc.

— I co ja tu zrobię... — mówił Kazio.

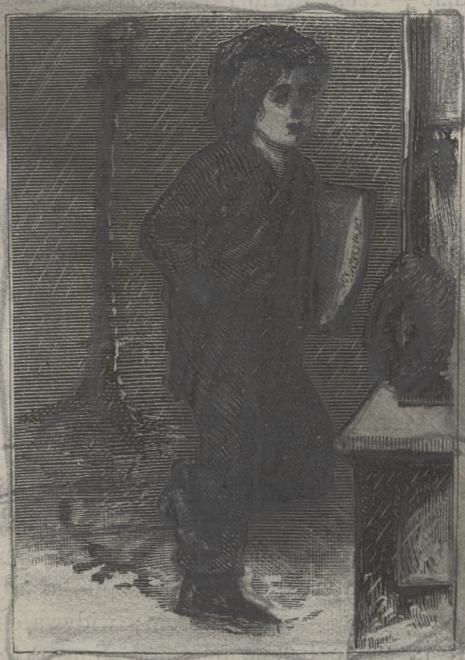
— Może on ci zda z rubla — odezwałem się; ale roznosiciel gazety nie mógł zdać reszty, bo miał tylko dwadzieścia groszy przy sobie.

— Wiesz co, — rzekł Kazio do chłopaka — ja ci dam rubla, pobiegnij go zmień i odniesiesz mi resztę do domu, ot tam, widzisz na rogu ulicy, zapytasz stróża, on ci wskaże nasze mieszkanie — tu wymienił nazwisko swojego ojca. A ja, słysząc to, parsnąłem śmiechem i rzekłem nietościwie:

— A toż dopiero z ciebie łatwowierny człowiek; myślisz, że taki chłopak będzie ci dobrowolnie resztę odnosił do domu. Byle raz z rublem się ulotnił, tyle go będziesz widział.

— Jeżeli panicz mi nie wierzy — rzekł chłopak zwracając się do mnie, i podając mi rubla, to proszę wziąć tak gazetę, a ja do domu przyjdę po pieniądze, nie chcę, żeby mię panicze niewinnie posądzali o nierzetelność — a te ostatnie słowa wymówił biedny chłopiec tak żałośnie, że do dziś jeszcze, po tylu latach, na samo wspomnienie serce mi się ścisza.

— Nie, nie — zawołał Kazio, spojrzawszy na mnie z wyrazem wyrzutu — ja ciebie nie podejrzewam i na dowód chcę koniecznie, żebyś wziął tego rubla, ho jestem pewny, że mi resztę odniesiesz, jeżeli nie dziś, to jutro.



Mały roznosiciel.

M

mały roznosiciel

— O, dziś jeszcze odniosę, niech panicz będzie pewny, trafię z pewnością do tój kamienicy, za półgodzinki przybiegnę — i kłaniając się czapką, odbiegł szybko.

— Jakiś ty niepocziwy — rzekł do mnie Kazio — obraziłeś i zmartwiłeś tego biednego chłopca najniewinniej.

— Oho — odrzekłem buńczucznie, chociaż w duszy żałowałem nierozważnych słów swoich — kto to jeszcze wie, poczekajmy, aż ci pieniądze odniesie; tym ulicznikom nie można tak bardzo dowierzać.

— Jestem przekonany, że odniesie — powiedział Kazio i na tém urwała się rozmowa, bo weszliśmy do mieszkania jego rodziców, gdzie było tego wieczora liczniejsze zebranie młodzieży na herbacie i po chwili zapomnieliśmy zupełnie wśród wesołej zabawy o chłopcu z gazetami. Dopiero około dziesiątej godziny, żegnając się z Kaziem, przypomniałem sobie całe to zdarzenie i znowu rozśmiałem się złośliwie, mówiąc do niego:

— A co, czy nie miałem słuszności? widzisz, widzisz, nie przyniósł ci reszty twój cnotliwy roznosiciel i nigdy nie przyniesie, możesz być pewny.

— Mogło mu coś przeszkodzić — rzekł Kazio — ręczę, że przyniesie jutro; ten chłopiec tak pocziwie wyglądał, nie mogę uwierzyć, żeby mię oszukał.

Ale chłopiec ani na zajutrz, ani dni następnych nie pokazał się wcale. Możecie sobie wyobrazić, jak się nieraz wyśmiewałem z łatwości Kазia, powtarzając z miną tryumfującą:

— A co, nie mówiłem, nie na moje wyszło? Wreszcie po tygodniu obaj przestaliśmy mówić o całym zdarzeniu, minął i drugi tydzień, aż znowu raz siedzieliśmy obaj wieczorem w mieszkaniu Kазia, przygotowując się razem do lekcji. Wtém usłyszeliśmy jakiś niezwykle szmer w przedpokoju, a po chwili służący odchylił drzwi od pokoiku Kазia i rzekł:

— Niechno pan Kazimierz wyjdzie na moment; jakiś obdartus tu wlaźł, pozbyć go się nie mogę, powiada, że ma bardzo ważny interes do panicza, a nie chce powiedzieć jaki.

Kazio zerwał się od stolika, ja pobiegłem za nim, obu nam stanął w myśli mały roznosiciel, ale w przedpokoju ujrzelśmy innego chłopca, znacznie większego, którego żaden z nas nigdy nie widział.

— Czy to panowie dwa tygodnie temu dali rubla zmienić roznosicielowi Gazety Warszawskiej? — zapytał ten chłopiec, patrząc nam w oczy.

— To ja, ja — zawołał Kazio — ale cóż się z nim stało, czy go znasz?

— To mój młodszy brat — mówił chłopiec

smutnie — straszne nieszczęście go spotkało. Biegł wtenczas wieczorem zmienić tego rubla, aż tu omnibus nadjechał z nienacka i koń go tak uderzył, że padł jak nieżywy na ulicy. Odnieśli go do szpitala, leżał dziesięć dni w gorączce, bez przytomności, a Siostra Miłosierdzia, co go doglądała, opowiada, jak ciągle o tym rublu majaczył i wzdychał, a skarżył się, że go wezmą za złodzieja, bo miał odnieść resztę wieczorem. Gdy odzyskał przytomność, nie przestał jednak mówić o rublu i o dobrym paniczu, co mu zaufał i o drugim, co go posądzał, a tak się ciągle martwił, taki był niespokojny, że Siostra zaczęła go się rozpytywać i dowiedziawszy się o całym zdarzeniu powtórzyła to doktorowi. Ach, jaki to dobry i miłosierny ten pan doktor; wyjął zaraz pieniądze z woreczka i prosił Siostry, żeby ten dług odesłała do paniczów, a bratu powiedział: Uspokój się, chłopcze, bo dłużej chorować będziesz z tego zmartwienia. Nikt nie ma prawa posądzać cię o nierzetelność, a w potrzebie ja za ciebie zaświadczę. Otóż gdym ja przyszedł odwiedzić brata, Siostra Miłosierdzia oddała mi te pieniądze, oto są, na szczęście brat nie zapomniał w czasie choroby adresu panicza.

Możecie sobie wyobrazić, co się działo ze mną, gdym słuchał tego opowiadania. Musiałem uciec i schować się czém prędzej, bo nie mogłem leż powstrzymać, a tu honor studencki nie pozwalał płakać. Przy herbacie opowiedzieliśmy wszystko rodzicom, matka moja, widząc szczerzy mój żal i zawstydenie, szepnęła tylko z cicha: *Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni*, a ojciec Kазia dodał:

— Żle to jest bardzo podejrzawać i sądzić bez dowodów, ale ja ci powiem, Kaziu, że i ty nierozsądnie zrobiłeś, dając rubla temu biednemu roznosicielowi. Mogłeś natrafić na chłopca mniej rzetelnego i niepotrzebnie wprowadziłbyś go na pokuszenie. Gdybyś był się nie lenił i sam rubla zmienił, chłopiec nicby na tém nie stracił, a możeby się był tak nie spieszył i uniknął nieszczęśliwego wypadku.

Dobra moja matka odwiedziła biednego chłopca w szpitalu, a gdy wyzdrowiał, zajęła się jego losem; widywałem go potem nieraz, gdy wyszedł na porządnego terminatora, ale tak szczerze go przeprosiłem, że nie miał do mnie żadnego żalu.

CHLEB

(według starego podania).

Każmierz panował, ze szczepu Piasta

Ostatni potomek mężli,

Gdy padła kłeska na wioski, miasta,

Nad wszystkie straszniejsza kłeski.

Bo ziemia latem zwędzona parném
Z długiego słabła pragnienia,
Nie wypłaciła jesieni ziarnem
Wzięte na wiosnę nasienia.

Pierwszym to było w kraju przykładem,
Że Polak, co z łaski nieba
Chlebem się dzielił ze swym sąsiadem,
Dzisiaj umierał bez chleba.

Wtenczas król chłopków swemu ludowi
Królewskie śpichrze otworzył;
Lud błogosławił temu królowi,
Którego ziarnem on ożył.

Kiedy się bliżsi do króla garną,
On widząc powszechną nędzę,
Gdzie nie mógł swoje dorzucić ziarno,
Tam im posyłał pieniądze.

Ale kraina rozległą była,
Wisły przepasana wstążką,
Czołem się w wodach Bałtyku myła,
Stopę oparłszy o Szląsko.

A tak powszechny był niedostatek,
Wszędzie tak równe potrzeby,
Że nie do wszystkich dojść mogły chatek
Pańskie pieniądze ni chleby.

W onym to roku powszechnej nędzy,
Gdy z głodu naród umierał,
Był panek; zdzierstwem dużo pieniędzy
I ziarna dużo nazbierał.

I choć zamożny z łońskiego zbioru,
W kmiecą siermięgę się przebrał,
Do Oliwskiego chadzał klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego, gdy wracał z miasta,
Chleb niosąc w zawoju szaty,
Z dzieciątkiem w rękę stara niewiasta
Z przydrożnej wybiegła chaty.

I woła: „Ratuj! jam z głodu chora,
Pan Bóg ci będzie odpłatą,
Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztoru
Chleba bochenek pod szatą.

Podziel się chlebem, posil niebogę,
Jeżeli serce masz człeka,
Ja stara jestem, ranną mam nogę,
Droga do miasta daleka“.

„Babo! rzekł panek“ pokój daj święty,
I nie zatrzymuj mnie w drodze“.
I znów litością niby przejęty
Dodał: „Zawiodłaś się srodze;

Nie chleb ja niosę, lecz kamień prosty,
U nas bo kamień jest rzadki,
A mam na rzece budować mosty,
Co płynie wedle mej chatki“.

Na to niewiasta: „Człeku! tyś skłamał,
Bo chleb ty niesiesz nie kamień;
Lecz chleb, któregoś ze mną nie zламаł,
Boże, w kamienie ty zamień!“

Ledwie to rzekła, panek postrzeża,
Że chleba bochen ociął;
Ciężarem swoim ramię przylega,
Na twardy kamień bo stęzał.

Otruchłał, czołem na ziemię upadł,
Inne prowadził już życie:
Za wszystkie chleby, co głodnym ukradł,
Odplacił głodnym obficie.

Dotąd w Oliwie, w klasztornym ganku,
Wisi ten kamień na ścianie;
I głośna powieść o skąpym panku,
I chleba w kamień przemianie.
Adam Gorczyński.

PUSZCZA MYSZYŃIECKA I JĘJ MIESZKAŃCY.

(Dokończenie).

A teraz wspomnimy w krótkości o świetnych czynach wojennych Kurpiów, zapisanych w historii. W r. 1708 toczyła się w Polsce zawzięta walka o tron, pomiędzy stronnikami Sasa, popieranymi przez Piotra Wielkiego i partją Leszczyńskiego, którego znów Karol XII szwedzki wspomagał. Kurpie do żadnego stronnictwa nie należeli, nie wchodzili w to, który z ubiegających się o koronę był jęj godniejszym, ale gdy obaczyli, że obcy najezdca zbrojno wkracza do kraju, stanęli pod bronią i zagrozdili mu drogę. Uzbroiła ich wojewodzina chełmska, Działyńska, należąca do stronnictwa Augusta. Karol XII na czele dzielnego i wywiczzonego wojska chciał przejść przez puszcę myszyńską, posuwając się z Torunia do Grodna, nie przygotowany był wcale na to, co go tu spotkało; ów wódz, dotychczas niezwyjęzony, ujrzał swoje szeregi rozbite przez „chłopów nieobutych“ jak sam Kurpiów nazywał. Nie mogąc przenieść takiej sromoty, rzucił się po raz drugi na tych pogardzanych przeciwników, ale pobity na głowę, samotrzeć z pułkownikiem Hornem i powiernikiem Piperem uciekać musiał do Szczuczyna.

Bitwa ta odbyła się pod Kopańskim mostem. Nie-
dość na tém, gdy po zupełnej porażce 300 Szwe-
dów schroniło się i zatarasowało na ostrołęckim
ementarzu, Kurpie zdobyli cmentarz i wszystkich
wzięli w niewolę. Lud dotąd śpiewa piosenkę,
opiewającą te bohaterskie czyny; zapewne z przy-
jemnością ją przeczytacie:

Na kopańskim moście.
Stali dziwni goście
I fuzyje mieli,
O tém nie ziedzieli (wiedzieli)
Że Kurpsie też mają
I tego strzelają.

Choć Myszyniec płonie
Od rzuconej drzazgi,
My na swym zagonie
Zbijem (zbijem) was na niazgi (miazgi).

Najświętsza Maryo!
Świedy nas zabijają (zabijają)
Retuj nas w tej biedziedzie (biedziedzie)
Staw Kurpsiów na przedzie.
Kurpsie się nie dają,
Śwedy uciekają...

Leci króć na przedzie,
Za nim Śwedy bieżą.
Nic Kurpsiom nie bandzie,
Bo w Maryją wierzą...

Szwedzi okrutnie się mścili na Kurpiach, gdy
ich w swoje ręce dostali, a jednak pocziwy ten
lud wiernie potem służył królowi Leszczyńskiemu
i gdy dobro kraju tego wymagało, równie mężnie
walczył pod wodzą Szwedów, jak przedtem prze-
ciwko nim, dla odparcia Sasa. Wsławił się wów-
czas dzielny ich dowódzca, Kurp, nazwiskiem
Konwa, o którym także śpiewają następującą
piosnkę:

Nasz Konwa to nie król świecki, (szwedzki)
Co to nie wart torby siecki.
Bzije tego — strzela lepsięć (lepiej)
I robaka (wilka) wnet oślepsi (oślepi).
A też Siasów nie żałuje,
Tylko strzelbą ich traktuje,
A kaj się napsiją (napiją) trunku,
To po całym już frasunku.
Oj złapsili go, złapsili, (złapali)
Żywceć więcej nie puścili;
Boże daj mu zmiłowanie,
Za twą ziareć (wiareć) bił się, Panie!

Kurpie mówią dość czystą polszczyzną, ale jak
wizdycie z przytoczonych piosenek, dziwnie wyma-

wiają niektóre zgłoski; i tak: przed i zawsze wstawiają
s albo z a w zmieniają na z, zresztą szeptanią po-
dobnie, jak i inni wieśniacy w różnych okolicach.

Dziś puszcza myszyniecka zmieniała się do niepo-
znania, a mieszkańcy jęć z bartników i strzelców
przerobili się na rolników. Bory w znacznej części
zostały wycięte, wykarczowane, miejsce ich zajęły
pola piaszczyste, nieurodzajne, na których głównie
kartofle uprawiać można; gdzieniegdzie tylko
udaje się żyto i różne jarzyny. W pozostałych
lasach urządzono leśnictwa, a Kurpie już teraz do
nich żadnego nie mają prawa, mieszkają w zwy-
czajnych wioskach, które bardzo porządnie zabu-
dowują. Chaty ich są obszerne, z dużymi oknami,
szczyt mają wyszalowany starannie i przyozdobio-
ny nabijanymi goździkami i świecąciami blaszka-
mi, które budowniczowie z ręcznie podkładają pod
łebki goździ. Zwykle też na szczycie układają
tym sposobem znak krzyża i imię Jezus. Podwó-
rze, równie jak wnętrze chaty, jest zwykle bardzo
czysto utrzymane, okna ozdobione firankami,
choćby tylko z papieru wyciętymi i doniczkami
kwiatów. Wszędzie tam napotkać można róże,
oleandry, mirty. Ściany zawieszono są świętymi
obrazkami, kupowanymi w Częstochowie, bo Kur-
pie są bardzo pobożni. Ogrody także starannie
są utrzymywane, i zasadzone owocowymi drzewami.

Kurpie hodują konie, które powszechnie tam
do gospodarskich prac są używane, bydło chowają
głównie dla nabiątu, owce dostarczają im wełny,
zasiewają też len po ogrodach i polach żyzniej-
szych, a Kurpianki tkają na warsztatach płótna,
sukna, różne kolorowe dywany, wełnianki na spo-
dnice i fartuchy, obrusy i ręczniki. Mężczyźni
znów wyrabiają bardzo z ręcznie różne drewniane
przedmioty, łyżki, niecki, szufle i sprzęty gospo-
darskie, sita, przetaki, wyplatają koszyki i kapelu-
sze, nie brak też między nimi zdolnych stolarzy
i kowali. Naród to pocziwy, przemysłny i praco-
wity; gdy w roku przeszłym, zmuszeni klęską gło-
dową, zaczęli chodzić po jałmużnę, ażeby się od
śmierci uchronić, nieraz powtarzali ze łzami: „My
nigdy nie żebrali, ale co robić, kiedy Bóg na nas
zesłał taką ciężką dolę!“

Kurpie wyróżniają się od wieśniaków innych
okolic kraju ubiorem, który z dawnych czasów
przechowali. Mężczyźni noszą długie sukmany,
sięgające za kolana, z ciemno brunatnego sukna,
z wyłogami granatowemi i sztywnym stojącym koł-
niérzem; z tyłu sukmana ta suto jest ufałdowana.
Kamizelki noszą tylko od święta, spodnie, stosow-
nie do pory roku, sukienne lub płóciennie, koszule
przewiązują u szyi czerwoną wstążką. Kapelusze
ich niskie, z wązkimi skrzydłami, przewiązane są
szychowemi sznurkami i kutasami, i piórkami

przystrojone. Kobiety noszą spodnice w kolorowe pasy, własnego wyrobu, sukmanki podobne do męskich, lecz nieco krótsze, chustki na głowie, osłaniają się z wierzchu fartuchem związanym pod szyją, a w zimie owijają się wielką szmatą wełnianą w pasy. Strój dziewcząt jest bardzo ładny i gustowny, zwłaszcza latem. Spodniczki noszą zwykle jasne, dosyć krótkie, ażeby widać było pończochy i trzewiki sznurowane czerwonymi tasiemkami, na koszulę związaną czerwoną wstążką nakładają zgrabny, sznurowany gorset, włosy splatają w dwa długie warkocze spadające na plecy i zakończone pękami wstążek różnokolorowych, na szyi mają mnóstwo paciorków bursztynowych i szklanych. Na zimę i one także noszą sukmanki, a na głowie układają bardzo zręcznie chustki na tekturowej podkładce, w kształcie korony. Mężczyźni i kobiety noszą zazwyczaj chodaki łykowe, od których nazwa ich pochodzi; nawet dziewczęta do świątecznego stroju tylko mają ozdobniejsze obuwie. Ale załączony rysunek lepsze wam da wyobrażenie o ubiorach Kurpiów, aniżeli szczegółowe opisy. Najwięcej też wdzięku dodaje Kurpiankom ochędóstwo; nie tylko w święto, ale i w dzień powszedni, ubierają się bardzo schludnie i porządnie, czém rzadko kiedy odznaczają się wieśniaczki w innych okolicach.

Kurpie przywiązani są niezmiernie do swęj ubogiej ziemi; niejedyn z nich, gdy go namawiają, aby szedł w świat szukać zarobku, odpowiada: „Tu się rodzili, tu umierali tatulo i matula, tu i mnie pogrzebią“.

WIĘZIEN KRÓLA AUGUSTA,

OPOWIADANIE Z DZIEJÓW WYNAŁAZKÓW.

(Dokończenie).

— Bój się Boga, człowieku — zawołał król marszcząc czoło — a toż mię to twoje złoto drożej będzie kosztowało od prawdziwego. Znowu pięćdziesiąt talarów z dymem pójdzie. No, byle to tylko do czegoś doprowadziło; obaczmy, kto kogo przekona. Tylko ty sobie nie wyobrażaj, mistrzu Böttgerze, że się potrafisz wymkąć z Königsteinu, Ho! ho! mury wysokie i mocne, a straż dobrze pilnuje u bramy.

— Ależ ja wcale nie mam zamiaru uciekać, Najjaśniejszy Panie — rzekł Böttger z westchnieniem, lecz w duszy pomyślał sobie: — Czy jabył tu siedział w tej chwili, gdybym się mógł ztąd wy dostać? — a głośno dodał: — Upewniam Waszę

Królewską Mość, że wszelkich starań dokładam, aby już raz wykonać to wielkie dzieło, któremu się poświęciłem. Dla czego mi się nie udaje, tego sobie wytłómaczyć nie umiem; w Berlinie niejednokrotnie miałem to szczęście, że prawdziwe złoto wyjmowałem z tyglów, a tu dmucham i dmucham, tygle pękają jeden po drugim, a złota jak niema, tak niema.

— A jednak być musi! — zawołał król, uderzając pięścią o stół — jeszcze mi się to nigdy nie zdarzyło, ażeby kto tak uparcie sprzeciwiał się mojej woli. No no — mówił dalej łagodniej — może naprawdę zapomniałeś o jakiej ważnej formule, ale przypomnisz sobie, wszak na ciebie nie nagłę, daję ci czasu dosyć i czekam cierpliwie.

— Obawiam się, Najjaśniejszy panie — rzekł biedny Böttger z ciężkiem westchnieniem, abym tu nie zestarzał się w Königsteinie, gdyż niesłusznie o upór jestem posądzony...

— Dajże pokój — mówił August, kładąc mu rękę na ramieniu — chciałbyś mnie rozczerzyć, ale ci się ta sztuka nie uda, póki tamtej nie dokażesz. Ach, zapomniałem ci powiedzieć, mistrzu; ten Tchirnhausen, którego znasz dobrze, co to znów ciągle sobie roi, że mu się uda porcelanę zrobić, a toż wyobraź sobie, Tchirnhausen błagał mię na wszystko, abym mu pozwolił widzieć się z tobą, chce ciebie o coś zapytać, jemu się zdaje, że mu dopomożesz zrobić porcelanę. Ale co tam porcelana, wolę ja złoto, bo za nie wszystko kupić można.

— Tchirnhausen nigdy nie zrobi porcelany ze zwyczajnej gliny — odrzekł Böttger — Nie ulega wątpliwości, że Chińczycy mają do tego jakiś inny materiał, daleko bielszy i delikatniejszy. Widać, że nasza Europa nie wydaje wcale ziemi porcelanowej.

— Nie byłbym wcale od tego, aby mi kto w mojem państwie i porcelanę zrobił — rzekł August — bo teraz doprawdy na wagę złota ją kupuję. A toż niedawno musiałem wysztyftować cały pułk dragonów dla króla pruskiego, Fryderyka, za 48 naczyń z przepysznej chińskiej porcelany w czerwone kwiaty na białem tle. To jednak wstyd doprawdy, żeby u nas w Europie, gdzie daleko większa jest cywilizacya, nikt nie umiał tego zrobić, co tym Chińczykom o złotych twarzach z taką łatwością przychodzi.

— Brak materiału, Najjaśniejszy Panie, nie innego; gdybym ja miał tu prawdziwą chińską ziemię porcelanową, zarazbym wypalił filizanki i wazy równie piękne, jak te, za które król jegomość pruski wziął cały pułk dragonów.

— Już ja cię proszę, mój mistrzu — odparł król niecierpliwie — nie zaprzataj ty sobie głowy porcelaną, tylko o złocie pamiętaj. Pięćdziesiąt

talarów dziś jeszcze ci wypłacić każe; ale muszę jednak powiedzieć, że i mnie zaczynasz gniewać tęp swoim marudstwem, a wiesz dobrze, że ja nie należę do ludzi zbyt cierpliwych. Mówiąc to August wyszedł z pracowni Böttgera i znów z taką samą paradą odprowadzony był do bramy zamkowej przez komendanta i załogę prezentującą broń. Böttger, pozostawszy sam, zamyślił się głęboko, potem jakby go coś tknęło, odsunął szufladę, wy dobył z niej odrobinę pudru, którą był sobie zostawił i zaczął jej się pilnie przypatrywać. Wtém drzwi się otworzyły i znany nam już chłopak, posługacz i uczeń naszego alchemika, wszedł cichutko do pokoju.

— A, to ty, Walterze — rzekł Böttger — dobrze żeś przyszedł, chciałem już posyłać po ciebie. Cóż, czy się dowiedziałeś, co to jest za puder, z kąd ten stary go bierze? Bo że to nie mąka, na to przysiądźbym gotów; to musi być jakiś minerał.

— Wiem już wszystko, mistrzu — odpowiedział chłopak.

— Przed chwilą właśnie byłem u ojca Matyasa. Zrazu przyznać się nie chciał, kręcił, zagadywał, ale ja umiem się wiąć do niego, jak zaczęłem mu się przymilać, wyśpiewał całą prawdę.

— No, mówże prędkiej, co to jest takiego?

— O, ja odrazu odgadłem, że w tęp musi być oszustwo, choć to Bogiem a prawdą na jedno wychodzi, czy mąką się usypie perukę, czy ziemią.

— Ziemią, powiadasz, więc to ziemia jest, ten puder?

— A tak. Posłuchajcie tylko, ja wam tu zaraz wszystko opowiem. Jest tu w miasteczku niedaleko kowal, nazywa się Jan Schorr, to on sprzedaje perukarzom ten puder i wcale nie z młyna go dobywa. Dowiedziałem się o wszystkim i to z ust samego Schorra, który przy mnie właśnie przyszedł do ojca Matyasa z ogromnym workiem szego pudru.

— Ale mówże na koniec, co to jest — wołał Böttger, — czyż nie widzisz, że drzę cały z niecierpliwości.

— Co, tak was ten puder zaciekawił, mistrzu? A cóż w tęp jest tak osobliwego?... ale powiem, powiem zaraz, nie gniewajcie się. Jan Schorr był przed kilku miesiącami w mieście Aue, pod Schneebergem, dla zamówienia żelaza. Jechał konno już z powrotem, gdy koniowi spadła podkova. Zatrzymał się i zaczął szukać zgubionej podkowy, którą znalazł z łatwością i uderzyło go to, że cała była oblepiona białą masą, jakby kredą, lub mąką. Obejrzał i inne podkowsy u swojego wierzchowca, a że to ten Schorr strasznie jest ciekawy, więc zawrócił z drogi i pótý śledził, szukał,

póki nie znalazł tego miejsca, gdzie koń nabrał tyle białego pyłu na podkowsy. Ścieżka tam była cała jakby mąką wysypana i nie dość na tęp, bo przy ścieżce leżały wielkie bryły białej, syplkiej ziemi i Schorr nabrał jej w kieszenie, w chustkę i przywiózł z sobą do domu. O, co to za mądrała ten kowal, ze wszystkiego potrafi pożytek wyciągnąć. Przyszło mu do głowy, że ta biała, jak pył rozsypująca się ziemia, wybornie może zastąpić zwyczajny puder, i zmówiwszy się z ojcem Matysem, zaczęli sprowadzać ją całemi workami z pod Schneebergu.

— Walterze — rzekł Böttger, wysłuchawszy w milczeniu opowiadania chłopca — oto masz talara, przynieś mi przed wieczorem tego pudru, ale nabierz od razu spory woreczek. Coś mi się zdaje, że to będzie przewyborny materyał na tygle. Tchirnhausien darmo sobie podobno głowę łamie nad sporządzeniem porcelany, ja wiem, że z tego nic nie będzie: ale gdyby mi się udało wypalić mocny tygiel,... idź idź, Walterze, tylko pamiętaj, pełny woreczek nabierz.

— Dobrze, dobrze, ale powiedzcież mi, mistrzu, dla czegoż to mój chrzestny ojciec, Pan Walter von Tchirnhausien, nie może zrobić porcelany? Przecież jej z ziemi nie wykopują, tylko się to gdzieś musi robić. Czy może i porcelanę robią jacyś zazdrośni mędracy, co nie chcą nikomu wykryć swojej tajemnicy?

— Porcelanę robią tylko Chińczycy i nikt jój w Europie sporządzić nie umie, jak mi się zdaje, dla braku stosownego materyału. Ba! wolałbym zapewne złoto zrobić, ale gdybym przypadkiem natrafił na ziemię porcelanową, to byłoby odkrycie wcale nie do pogardzenia, bo piękne chińskie i japońskie naczynia na wagę złota się sprzedają. Wystaw sobie, że je trzeba przywozić aż z Azji, z innej części świata.

— Wiem, wiem, toż w geografii się tego uczyłem, jedyna to nauka, która mię nie bardzo nudziła w szkole. Ale ba! czy to warto nawet imienia nauki, te wszystkie rzeczy, któremi nam nauczyciel nabijał głowę? Teraz dopiero, mistrzu, przypatrując się waszój robocie, zrozumiałem, co to jest nauka. Ach, jabym przez całe życie chętnie siedział przy ognisku i smażył sobie złoto i srebro w tyglach.

— Ba, a jabym wolał raz dobry zapas nasmażyć, i potęp odпочząć. Już mi obrzydł ten płomień i to dmuchanie daremne. Ale idź bo już, idź.

Odszedł Walter, a mistrz znowu pogrążył się w zadumie. Nie mógł on rozstać się ze swojemi rojeniami, a teraz nowa nadzieja w niego wstąpiła, przepróbował już najrozmaitsze gatunki

gliny na swoje tygle, bo mu się ciągle zdawało, że gdyby tylko zdołał sporządzić naczynie ogniotrwałe, doprowadziłby do końca wielkie swoje dzieło.

Minęło znowu dni parę, mistrz Böttger nową teraz pracą był zajęty, a i ta nie szła mu zbyt łatwo. Biała ziemia, przyniesiona przez Waltera, nie dawała się przetopić na ogniu, więc mistrz próbował dosypywać do niej najrozmaitszych innych minerałów, w końcu dokazał swego, otrzymał masę, z której się dał urobić niewielki tygielek. Walter nie odstępował go ani na chwilę i z gorączkowym niepokojem śledził postępy roboty.

— Już teraz, mistrzu, niezawodnie się nam uda — mówił chłopak, — mam jakieś dobre przecucie.

— Miałem tój nocy dziwne sny — mówił Böttger — zdawało mi się, że wlewam mieszaninę w ten tygielek i widzę, jak nagle na dnie jego ukazuje się błyszcząca, złocista bryłka; chcę ją pochwyć, aż tu brzegi tygla zaczynają się podnosić, wyginać i widzę przed sobą ogromne naczynie porcelanowe, białe, w purpurowe kwiaty, jedno z tych czterdziestu ośmiu, za które król August wysztyftować musiał pułk dragonów. I gdy jeszcze nie mogę wyjść z podziwienia, wpada komendant zamku i przynosi rozkaz królewski, aby mię na swobodę wypuszczono.

— No, to już ani chybił będziemy dziś mieli złoto — rzekł Walter — bo przecież król zapowiedział, że nie wyjdziecie z Königsteinu, póki złota nie zrobicie. A co do tego naczynia porcelanowego, to już tak zwyczajnie musiało być senne majaczenie. Ej, cóż tam taka porcelana znaczy w porównaniu do złota.

— Nie śmiej ty się z porcelany, chłopcze, nie znasz się na tém, może nigdy w życiu nie widziałeś kosztownego chińskiego naczynia. Ja się napatrzyłem na nie i w Berlinie i tu u naszego monarchy, póki na jego dworze przebywałem i... o Boże! czy ty wiesz, Walterze, że mój sen sprawdza się co do joty, to jest oprócz wizyty komendanta i królewskiego rozkazu, ale kto wie! Tak, teraz już niema żadnej wątpliwości, ta ziemia biała, którą kowal Schorr odkrył, to jest prawdziwa ziemia porcelanowa, zwana przez Chińczyków Kao-Lin. Ten tygielek ma wszystkie własności najwyborniejszej porcelany, braknie mu tylko polewy, ale znajdziemy i na to sposób. Walterze, idź natychmiast do komendanta, powiedz mu, że mam bardzo ważną i pilną wiadomość do przesłania królowi.

— On pomyśli niezawodnie, że już złoto gotowe.

— Niech co chce myśli, a już ja ci mówię, że król August ucieszy się tą wiadomością. Wiedziałem ja, jak się rozplýwał nad swojemi chińskimi naczyniami. Kto wie, czy mój sen w zupełności się nie sprawdzi.

— O, mistrzu! a cóż będzie ze złotem?

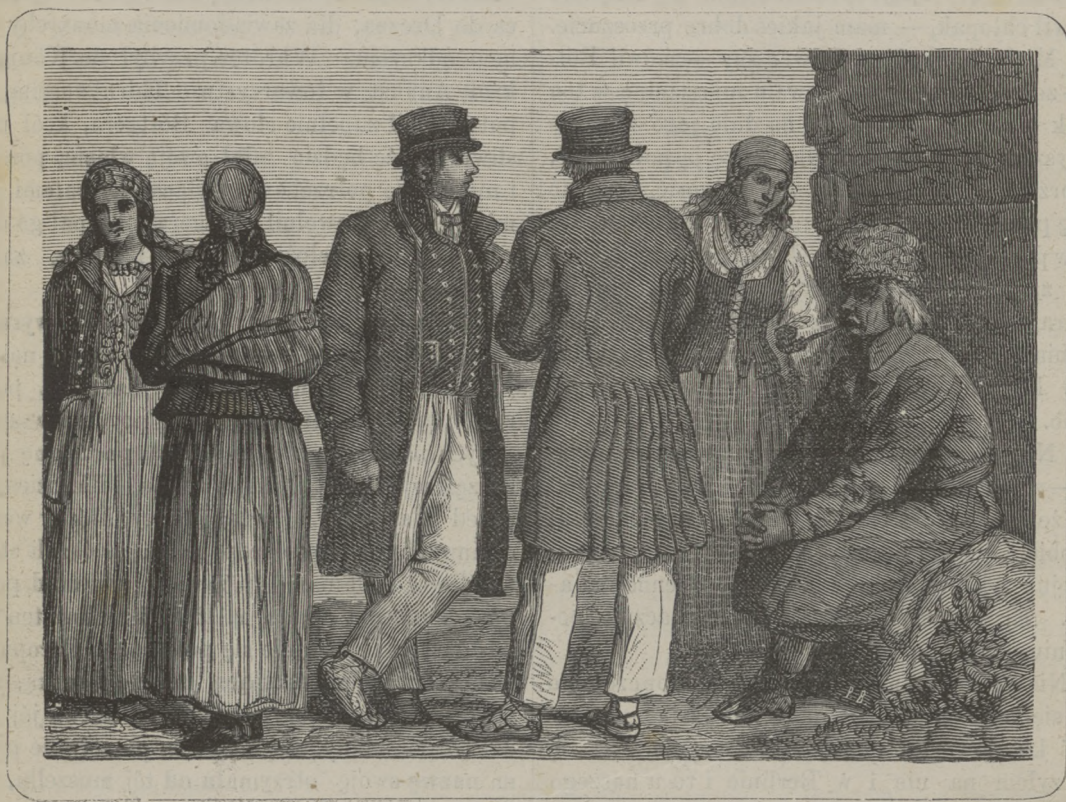
— Dajże pokój, porcelana może mi dać także i złoto; idź prędzej.

— Ach, jaka szkoda! — westchnął Walter, wychodząc niechętnie dla spełnienia rozkazu mistrza. Ale komendant twierdzy znał się lepiej na wartości porcelany od Waltera, zrazu wierzyć nie chciał, gdy Böttger go upewniał, że szczęśliwy przypadek wykrył ziemię porcelanową, szacowny kaolin w Saksonii, ale obaczywszy tygiel, wysłuchawszy objaśnień mistrza, natychmiast wysłał gońca do Drezna, dla zawiadomienia monarchy o ważnym odkryciu. Wkrótce przybył do Königsteinu król August w towarzystwie Thirnhausena, który potwierdził zupełnie słowa Böttgera, król uszczęśliwiony, że będzie miał swoją własną porcelanę, i nie będzie poźrzebował opłacać jej całemi pułkami dragonów, uwolnił Böttgera, obsypał go darami i mianował przełożonym nad fabryką, założoną w Dreźnie.

Sztuka garncarska, to jest sposób wyrabiania naczyń glinianych, wypalanych w ogniu, należy do najdawniejszych wynalazków; naczynia podobne znane były u starożytnych Egipcyan i wszystkich innych narodów; ale prawdziwą porcelanę pierwsi zaczęli wyrabiać Chińczycy na kilkadziesiąt lat przed Nar. Chr. Portugalczycy, którzy wcześniej od innych narodów europejskich zawiązali stosunki handlowe z Chinami, przywieźli ztamtąd porcelanowe naczynia około r. 1500 i piękny ten wyrób od razu nadzwyczajnie się podobał w Europie. Czy znacie ładną połyskującą muszlę morską, zwaną porcelanką? sądzicie zapewne, że nazwa jej pochodzi od porcelany, a tymczasem przeciwnie porcelana nazwę swoją otrzymała od tój muszki, którą znano daleko dawniej. Portugalczycy nazywali ją *porcella* czyli świnka, upatrując w jej kształcie pewne podobieństwo do małej świnki. I w Europie wyrabiano wprawdzie bardzo ozdobne naczynia fajansowe, ale te wyroby nie mogły iść w porównanie z chińską porcelaną, która oprócz pięknej powierzchni posiada mnóstwo zalet, jest nadzwyczaj twarda i wytrzymała na gorąco, a biała jej barwa wybornie się nadaje do malowania. Fajans może być także pięknie polewany i malowany, a wówczas trudno go na pierwszy rzut oka od porcelany odróżnić, ale gdy naczynie się stłucze, odłam porcelanowy zupełnie inaczej wygląda, gęsta, biała masa wewnętrzna mało się różni od lśniącej zewnętrznej polewy. Kaolin jest gliną bardzo

czystą i białą, która się tworzy z rozkruszenia różnych skał i zwięzienia ich, to jest połączenia części mineralnych z gazami powietrza. Dawniej wyobrażano sobie, że taka ziemia porcelanowa tylko w Chinach się znajduje, teraz znaleziono ją we wszystkich prawie krajach europejskich, a najwcześniej odkrył ją ów kowal Schorr w Saksonii, ale, jak widzieliśmy, nie domyślał się wcale wartości tego odkrycia i sprzedawał piękny biały proszek perukarzom na puder. Kaolin nie topi się wcale na ogniu, ażeby otrzymać masę porcelanową, dodaje się do sproszkowanego kaolinu inny mineral, feldspat; ten topi się z łatwością, zamienia się w ciecz szklistą a drobne cząsteczki porcelanowej

uszcześliwiony swoim odkryciem, oddał się zupełnie porcelanie i nie chciał już myśleć nawet o alchemii, która mu tyle trosk przyczyniła, a najmniejszej nie dała korzyści. Odjeżdżając z Königsteinu, łaskawie pożegnał Waltera, lecz chłopiec spostrzegł z niewypowiedzianym smutkiem, że mistrz jego ukochany zupełnie się zmienił dla niego. Przedtém, gdy jeszcze był więźniem na zamku, traktował go prawie jak równego sobie, rozmawiał z nim poufale, zwierzał się przed nim ze wszystkich swoich zamiarów, ale od chwili, gdy los uśmiechnął się do niego, Böttger inaczej spoglądać zaczął na biednego swojego posługacza. Tymczasem Walter tak sobie nabił głowę opowiadaniem



Ubiory Kurpiów.

ziemi toną całkowicie w tej cieczy. Chińczycy powiadają, że masa porcelanowa składa się z kości i mięsa, kaolin nazywają kością, a feldspat mięsem. Dla tego to porcelana wygląda, jakby napół przezroczysta, że zawiera w sobie białe ziarenka koalinu, oblane szklistą masą roztopionego feldspatu. Na zakończenie tych wiadomości o fabrykacji porcelany, powiemy jeszcze, że w kraju naszym, w Korcu na Wołyniu, jest wyborny kaolin i dawniej wyrabiano tam piękną porcelanę; wielka szkoda, że przemysł ten później zaniedbano.

Powróćmy teraz do naszej powieści. Böttger

Böttgera, że nie mógł przyjść do siebie po jego odjeździe; darmo stary żołnierz, stryj jego, napędzał go do rzemiosła, chłopiec we dnie i w nocy marzył tylko o złocie. Nie mógł odżałować, że ten nieszczęsny puder nową myśl podał mistrzowi, bo gdyby nie to, powtarzał sobie w duszy, niezawodnie, nie dziś to jutro, byłoby się złoto w tyglu zrobiło.

Walter nie miał ani ojca, ani matki, dotąd opiekunem jego był stryj, pozostała mu także ciotka wdowa, rodzona siostra jego matki, która mieszkała w Dreźnie i utrzymywała się z szycia.

Dnia pewnego, nie mogąc już wytrzymać, chłopiec uprosił stryja, że mu pozwolił pojechać na dni kilka do tej ciotki; szło mu o to, ażeby się dostać do Drezna i poszukać tam mistrza Böttgera. Ciotka powitała go z wielką radością, bo go od dawna nie widziała, ale Walter za ledwie chwilę u niej zabawił, wybiegł zaraz na miasto zasięgnąć języka i wkrótce się dopytał do mieszkania uwielbianego swego mistrza. Nie tak łatwo mu jednak poszło, jak sobie wyobrażał; służba Böttgera wygalonowana nie chciała go wpuścić na pokoje, wyśmiewano się z niego, gdy upewniał, że mistrz, byle tylko dowiedział się o jego przybyciu, przyjmie go niezawodnie w swojej pracowni; musiał więc czekać cierpliwie na ganku a i ztamtąd wypędzić go chciano. Nareszcie wy-

Ale biedny Walter tak był porażony tym przyjęciem, że słowa wymówić nie mógł, zresztą cóż miał powiedzieć? On chciał mistrzowi przypomnieć świetne projekta i plany, które snuli razem w Königsteinie, chciał go się zapytać, czy już nie myśli złota robić, miał nadzieję, że mu znów dopomagać będzie w tej miłej robocie, a tu mistrz odrazu go zaliczył do zgrai suplikantów, oblegających jego świetne przedpokoje. Böttger nie czekał wcale na odpowiedź Waltera, odwrócił się do lokaja, dając mu jakieś polecenie, potem wskoczył do lektyki i zniknął z nią razem na zakręcie ulicy.

Co się działo z Walterem, to sobie łatwo wyobrazić. Zrazu stał jak wryty na ganku, ale szyderstwa służby przyprowadziły go wkrótce do przytomności, ogarnęła go wielka żalność i oburze-



Chaty Kurpiów.

biegł na ganek lokaj i skinął na lektykę, czekającą opodal, a po chwili ukazał się we drzwiach mistrz Böttger w paradnym dworskim stroju, gdyż miał się udać do pałacu królewskiego. Podbiegł Walter uszczęśliwiony i z dawną poufałością chciał go powitać, ale mistrz zmierzył go dumnym i zdziwionym wzrokiem:

— Co tu robisz, mój chłopcze? — rzekł wreszcie z lodowatą obojętnością — uprzedzam cię, że czas mój jest drogi i nie mogę go tracić napróżno. Jeśli masz jakie żądanie, jaką prośbę, czy do mnie czy do króla, mów prędkiej, gotów jestem ci dopomóc, chociaż ludzie nadużywają już troszkę mojej pobłażliwości i codziennie odbieram próśb tyle, że sobie z niemi rady dać nie mogę.

nie zarazem, zbiegł szybko ze schodów i oddalił się od tego miejsca, gdzie go takie straszne spotkanie rozczarowanie. Błądził długo po ulicach Drezna, późno dopiero wieczorem, gdy mu głód dokuczać zaczął, podążył do mieszkania ciotki. Biedna kobieta przygotowała dla ukochanego siostrzeńca na wieczerzę co miała najlepszego, zaczęła też rozpytywać go, co porabia, jakie ma na przyszłość zamiary, sądziła bowiem, że przybył do Drezna kształcić się w jakim rzemiośle. Ale nasz Walter nie czuł już teraz ochoty do żadnej pracy, ciągle mu po głowie chodziło to złoto, które miało się w tyglu usmażyć, zaczął też i ciotce o tym opowiadać, rozkładając żale na Böttgera, tak zupełnie, jak gdyby to on pozbawił go spodziewanych bogactw.

— Ach, mój drogi chłopcze — mówiła ciotka — już ja tam złota nigdy nie pragnęłam i do śmierci pragnąć nie będę; ale słyszałam nieraz, że tacy mądrzy ludzie, jak ten mistrz Böttger, umieją przyrządzać różne eliksiry, przywracające młodość i zdrowie. O mój Boże, cóżby to było za szczęście dla mnie, gdybym mogła dostać sobie jakiego cudownego eliksiru, któryby wzmocnił biedne moje oczy. Od niejakiego czasu zaczynam tak strasznie niedowidzieć, że już wieczorami wcale szyć nie mogę, i nie wiem sama, co pocznę, gdy nadejdzie zima, krótkie dni nastaną i długie wieczory. Nigdy nie potrafię zarobić tyle, ile potrzeba na opał i jedzenie, i ciepłą odzież. A tu z nikąd pomocy, znikąd ratunku! Oj ciężkoż to na świecie biednej, opuszczonej wdowie. Gdybym miała dzieci, gdyby żył mój Franek... ale zabrali go do wojska i zginął w bitwie gdzieś daleko. O, czemuż i mnie Bóg raczej śmierci nie ześle, niż mam zostać kaleką i w nędzy dogorywać lub żebrać na starość pod kościołem.

Nasz Walter miał dobre serce, chociaż nierozsądne marzenia zawróciły mu głowę. Słowa ciotki rozbudziły w nim lepsze uczucia i przyprowadziły do opamiętania.

— Ciotko — rzekł po chwilowym namyśle — ja wam zastąpię straconego syna; jestem zdrów i silny, a zanim mnie komendant naznaczył do pomocy mistrza Böttgera, pracowałem u zamkowego ślusarza i dużo się nauczyłem. Tu w Dreźnie o robotę pewnie nie trudno, jutro rano poszukam sobie stałego zajęcia w jakim warsztacie i zostanę tu przy was; stryj pewnie mi na to pozwoli, bo i tak nieraz już myślał mię oddać do Drezna do rzemiosła.

— O, pocziwe moje dziecko! — wołała ciotka rozrzewniona — niechże cię Bóg błogosławi; bądź pewny, że ja nie będę darmo jadła twój chleb, póki ostatka sił nie wyczerpię. Pracuj, mój synu drogi, pracuj, nie tyle dla mnie, co dla siebie.

Walter dotrzymał słowa, a że był zdolnym i roztropnym chłopakiem, znalazł z łatwością zajęcie i w lat kilka zapewnił sobie i ciotce dobrobyt. Wymógł nawet na staruszce, że zupełnie szyć przestała, aby do reszty wzroku nie osłabiać, tylko zajmowała się jego gospodarstwem. Odwiedzał też czasem starego stryja na Königsteinie i teraz z nim razem śmiał się ze swoich niedorzecznych marzeń o smażeniu złota, ale ile razy wspomniano Böttgera, uśmiech znikał z jego twarzy i nie mógł powstrzymać gorzkiego uczucia, na myśl o przyjęciu, jakiego doznał od mistrza. Lata mijaly, a chociaż oba mieszkali w Dreźnie, nigdy się z sobą nie spotkali; skromny rzemieślnik nie miał nic do czynienia z takim magnatem, jakim był teraz

Böttger, dyrektor wielkiej fabryki porcelany. Słyszał tylko Walter różne dziwne pogłoski krążące o tej fabryce pomiędzy gminem; niektórzy utrzymywali nawet, że się tam jakieś czarnoksiężkie sztuki dziać muszą, gdyż każdy z robotników, co się tam dostał, musiał przedewszystkiēm wykonać przysięgę, iż nie zdradzi tajemnic, na które tam patrzeć będzie; król August był niezmiernie zazdrosny, nie chciał, ażeby w innych krajach nau czono się robić porcelanę i rzeczywiście przez czas dość długi nikt się nie mógł dowiedzieć, jakich sposobów używano do tego w Dreźnie.

Jednakże przeznaczenie chciało, aby nasz Walter raz jeszcze w życiu spotkał się z Böttgerem, a spotkanie to nastąpiło w dziwnych i całkiem niespodziewanych okolicznościach. Pewnego wieczoru Walter, wówczas już człek dojrzały i stateczny, powracał z warsztatu, w którym był głównym kierownikiem, szedł zwolna, ze śpiewką na ustach, rozglądając się po ulicach, gdy uwagę jego zwróciła dziwna postać, przesuwająca się obok niego na chodniku. Był to mężczyzna zgarbiony, prawie we dwoje zgięty, opierał się na kij i postępował z trudnością, dysząc ciężko i zatrzymując się co chwila, znać było na nim chorobę, wielkie znużenie i nędzę. Stał nareszcie przed małym sklepikiem, gdzie w oknie, przy migotliwém świetle lampki, dostrzedz było można różne błyszczące przedmioty złote i srebrne; był to sklepik jubilera. Nieznajomy spoglądając w to okienko westchnął tak ciężko, że Walter, który miał zawsze dobre i litościwe serce, nie mógł się dłużej powstrzymać i zbliżając się do niego zapytał ze współczuciem:

— Co to wam jest, dobry człowieku? czy wam się słabo zrobiło, czy nie mógłbym wam w czēm dopomódz?

Nieznajomy drgnął nagle i nie odwracając się od ściany odpowiedział półgłosem z widoczną niechęcią:

— Nic mi nie jest i nic nie potrzebuję; idźcie dalej i nie zaprzatajcie się cudzemi sprawami.

Potēem szybko posunął się do drzwi sklepiku, odchylił je i wszedł do środka, a nasz Walter, pomimo niezbyt grzecznej odprawy, pozostał jakby przykuty na miejscu, nie spuszczać oczu z okienka. Bo głos nieznanego dziwnie w nim, dawno zapomniane przebudził wspomnienia. Nie chciał wierzyć uszom, ani oczom własnym, a jednak przy patrząc się przez oświetlone okienko tej zgarbionej, znękanēj postaci, coraz wyraźniej poznawał w niej niewidzianego od lat tyłu, ukochanego niedys swojego mistrza Böttgera. Jakim sposobem ten człowiek, o którym słyszał zawsze, że opływał w bogactwa i zaszczyty, doszedł teraz do takiego

stanu, tego nasz Walter pojąć nie mógł. Co tu robił w tém ustronném miejscu, poco wszedł do sklepiku, to już łatwiej odgadnąć było można. Trzymał on w ręku drobny jakiś przedmiot błyszczący, pierścień czy spinkę, a właściciel sklepiku wskazywał mu kilka sztuk monety, które na stole przed nim położył. Nieznajomy, a raczej Böttger, gdyż Walter wcale się nie omylił, potrzasał głową, widocznie targował się z chciwym handlarzem, sprzedając mu kosztowny klejnot. Nareszcie dobili targu, Böttger wyszedł ze sklepiku i zwolna oddalać się zaczął, a Walter nie mógł jeszcze wyjść ze zdumienia i mimowolnym popędem wiedziony, puścił się w ślad za nim. Doszli tak obaj do stariej kamienicy, tu Böttger się zatrzymał i zastukał do bramy zamkniętej, a Walter po raz drugi zbliżył się do niego i rzekł wzruszonym głosem:

— Mistrzu Böttgerze, nie poznajecie mnie, bo też wiele lat minęło od ostatniego naszego spotkania, ale ja was poznałem i szczerze pragnę wam usłużyć. Jestem owym chłopcem z Königsteinu, któregoście niegdyś tak łaskawie traktowali na zamku, nie odpychajcież mnie teraz, błagam was, mistrzu, pozwólcie mi wejść do waszego mieszkania, pozwólcie, abym wam dowiódł czemkolwiek, że przywiązanie moje do was nie zmieniło się z latami.

Böttger milczał przez chwilę, potem rzekł krótko:

— Chodź za mną — i prowadził go krętymi, chwiejącymi się schodami aż na poddasze. Walter podtrzymywał troskliwie biedaka, który zaledwie na nogach się mógł utrzymać, weszli razem do ciemnej izdebki, Bötger wykrzesał ogień i zapalił świeczkę łojuwą. Straszna nędza przedstawiła się oczom Waltera. W izdebce nie było nic, oprócz łóżka, ubogą pościelą zasłanego, stolika i stołka. Na nagich ścianach widać było ślady wilgoci, kominiek wygasł oddawna, chociaż pora była jesienna i chłód dotkliwie czuć się dawał.

— Ach, mój chłopcze — westchnął Bötger, osuwając się na łóżko — dobreż to były czasy, gdyśmy obaj pracowali na zamku i poili się złotą nadzieją. Oto, jak widzisz, fortuna kołem się toczy; niedawno byłem magnatem, a dziś jestem nędzarzem. Jeśli masz czas, możesz mi wielką przysługę wyświadczyć; przyniosłem z sobą trochę pieniędzy ze sprzedaży ostatniego brylantowego pierścienia, który miałem w podarunku od króla, pójdź kup mi butelkę wina i bochenek chleba, a po drodze wstąp do doktora i poproś, ażeby mię odwiędził, bo czuję się bardzo chorym.

Walter wybiegł śpiesznie i wkrótce przyprowadził doktora, po drodze zaś dowiedział się od niego, jakim sposobem Böttger popadł w taką nędzę.

Był on zawsze nieogłębny i marnotrawny, chociaż król obsypywał go darami, nigdy nic nie zaoszczędził, ale tracił wszystko na zbytki, na wystawne obiady i kosztowne wina, a żyjąc tak i zdrowie także nadwęgrył; teraz zaś spadła na niego nielaska monarsza, grożono mu nawet sądem i więzieniem. Zasłużył też na to, gdyż odplacił królowi najczarniejszą niewdzięcznością za wszystko, co od niego otrzymał, wszedł w układy tajemne z królem pruskim i przyrzekł mu wyjawić sposób robienia porcelany, rozumie się za opłatą wielkiej sumy pieniężnej.

Dobry Walter szczerze się ulitował nad biedakiem, zapomniał zupełnie o dumnym obejściu się Böttgera, które go niegdyś tak głęboko dotknęło pamiętał tylko o dobroci jego, gdy był więźniem króla Augusta na zamku w Königsteinie. Naza jutrz z rana przyprowadził ciotkę do mieszkania chorego Böttgera i uprosił ją, aby go pielęgnowała, sam zaś z własnych pieniędzy zaopatrywał wszystkie jego potrzeby. Niedługo jednak Böttger korzystał z tej troskliwości, choroba jego szybko się wzmagała. Walter nie odstąpił go do ostatniej chwili, zamknął mu oczy, a potem sprawił skromny, lecz przyzwoity pogrzeb i poszedł wraz z ciotką za jego trumną.

M. J. Zaleska.

TRZĘSIENIA ZIEMI

pogadanka naukowa.

Wspomnieliśmy już w poprzedniej pogadance, że bywają trzęsienia ziemi, nie mające żadnego stosunku z wybuchami wulkanicznymi; ale niektórzy uczeni wyobrażają sobie takie wstrząśnienia skorupy ziemskiej, jako wybuchy niedoszłe, jako skutki parcia lawy, która nie może sobie ujścia znaleźć i wydobyć się na powierzchnię. Drudzy znów inaczej zupełnie to zjawisko tłómaczą. Wiemy, jak często w skałach znajdują się wydrążenia próżne, ogromne jaskinie, podziemia rozmaite; można też wnosić, że i głębiej we wnętrzu ziemi są podobne otwory, przez które zwykle przeciekają strumienie wody. W miejscach, gdzie są takie próżnie podziemne, łatwo wydarzyć się może oberwanie w wyższych warstwach skał, czy to w skutek podmywania wody, czy z innej przyczyny. Otóż mamy powód gotowy do trzęsienia ziemi. Gdyby część sufitu runęła na podłogę, dach niezawodnie musiałby się zachwiać; cóż dopiero, jeśli tam gdzieś w głębi ziemi osuwają się i gruchocą

wielkie obszary skał. To pewna, że nie wszystkie trzęsienia ziemi z jednych przyczyn pochodzą, chociaż wszystkie na powierzchni ziemi jednakowe wywołują skutki.

Dla mieszkańców środkowej Europy zjawisko to jest prawie nieznanne, w naszym kraju wiemy o niem tylko ze słyszenia i uważamy za rzecz bardzo rzadką i osobliwą. Nam nawet trudno w to uwierzyć, że według obliczeń najwiarogodniejszych, w ciągu każdej doby bywa zwykle po dwa trzęsienia ziemi gdzieś w oddalonych stronach. Przywykliśmy czuć pod stopami grunt stały i pewny, ale nie wszędzie tak jest, a i tu nie zawsze tak było. Wam nigdy może na myśl nie przyszło, że gdyby powierzchnia ziemi była ciągle spokojna, gdyby nie było ani w dawniejszych, ani w nowszych czasach żadnych podziemnych wstrząśnień, wybuchów, zaburzeń rozmaitego rodzaju, które powysadzały na wierzch łańcuchy gór i powyżłabiały głębokie doły i kotliny, nie byłoby wcale stałego lądu i niemielibyśmy gdzie mieszkać. Tak, niezawodnie, obliczono to jaknajdokładniej: gdyby powierzchnia kuli ziemskiej mogła być całkowicie wyrównana i wygładzona, gdyby dna oceanów zasypane zostały szczątkami rozkruszonych lądów i gór, woda występując ze swoich głębokich zbiorników pokryłaby całą ziemię jednostajną warstwą, a nie sądzicie, ażeby to morze powszechne dało się łatwo przejść w bród; według obliczeń, miałyby najmniej ze 200 metrów głębokości.

W wielu okolicach Ameryki południowej trzęsienia ziemi wydarzają się bardzo często, mieszkańcy muszą się ustawicznie mieć na ostrożności, obawiają się nawet stawiać ciężkich murowanych domów i kościołów, bo takie najłatwiej się wałają i straszne spustoszenie ztąd powstaje. Nieraz już całe miasta były zburzone tym sposobem, a gruzy walących się budowli przygniatały nieszczęśliwych mieszkańców. Amerykanie nie mogą się oswoić z tą klęską, chociaż tak często na nią patrzą, podróżni opowiadają, że Europejczycy, którzy po raz pierwszy są świadkami trzęsienia ziemi, nie okazują zwykle tak wielkiego przestrachu, jak mieszkańcy miejscowi. Wszystko co żyje wylega na ulice, zewsząd słychać jęki, krzyki trwogi i rozpacz, kobiety padają na kolana, wszędzie popłoch i zamieszanie panuje.

Ale i w Europie bywały straszne trzęsienia ziemi. W r. 1755 i latach następnych klęska ta spustoszyła po kilkakrotnie Lizbonę w Portugalii, a później nieco w r. 1783 dała się czuć w Kalabrii gdzie mnóstwo miast i wiosek rozsypało się w gruzy. W Lizbonie trzęsienie ziemi było tak gwałtowne i tak okropne zrzuciło szkody, że raz w przeciągu sześciu minut zginęło kilkadziesiąt

tysięcy osób. Nie dość na tém, że budynki waliły się jak domki z kart, ale na wybrzeżu morskiem osunęła się ziemia i mnóstwo ludzi wpadło w przepaść, która nagle otworzyła się pod ich stopami. Woda gwałtownie wystąpiła z morza i zalała ląd, wyrzucając okręta z taką siłą, że się rozbiły na ziemi, w znacznej odległości od brzegu. I w Ameryce na wybrzeżach morskich i na wyspach ludność obawia się bardzo takich wylewów, nieraz bowiem morze zatapia miasta i mieszkańców, a za to dno morskie na znacznej przestrzeni się odkrywa. Łatwo jest zrozumieć, jakim sposobem się to dzieje. Wyobraźmy sobie naczynie wodą napełnione; gdybyśmy je wstrząsnęli, choćby nawet lekko, czy to od spodu, czy z boku, woda musiałaby się rozlać nagle i gwałtownie. Ci, którzy w czasie trzęsienia ziemi znajdują się na morzu, doznają takiego wrażenia, jak gdyby dno okrętu silnie czemś było uderzone, nieraz też w pierwszej chwili żeglarze sądzą, że statek natrafił na rafę.

A jednak rzecz dziwna, najsilniejsze trzęsienia ziemi słabo tylko czuć się dają w głębokich podziemnych kopalniach. Podczas gdy na powierzchni ziemi wałają się budynki i morze występuje z granic, górnicy, pracujący w podziemiach, zwykle nie wiedzą o tém nawet i doświadczeni tylko domyślają się po lekkim kołysaniu się wiszących sznurów lub wahaniu płomienia świecy, że groźne zjawisko odbywa się wysoko nad ich głowami. Zdawałoby się zatem, że wstrząśnienie nie może pochodzić z wnętrza ziemi, skoro najsilniej się czuć daje na powierzchni, a w głębszych warstwach spokój panuje. Można to jednak wytłómaczyć. Wyobraźmy sobie skrzynię napełnioną jakimiś ciężkimi przedmiotami; gdybyśmy uderzyli w dno skrzyni, niezawodnie największe wstrząśnienie spostrzeżlibyśmy w górze, a drobniejsze i lżejsze przedmioty zupełnie się porozsypywały, podczas gdy większe i cięższe zaledwoby się poruszyły. Zupełnie toż samo dzieje się na ziemi; wszędzie, gdzie grunt opiera się na podstawie twardej, mocno osadzonej skały, trzęsienie ziemi nie wyrządza tak wielkiego spustoszenia; przeciwnie nad brzegami morza lub większych rzek, gdzie wierzchnie warstwy gruntu są lekkie, zazwyczaj przez wody naniesione, klęska ta daleko większe szkody wyrządza i łatwiej obala budynki, jak to wszędzie zauważono.

W ostatnich czasach silne trzęsienia ziemi występowały często w okolicach niezbyt oddalonych od nas, a nawet i w naszym kraju czuć się dały w wielu miejscach, np. pod Odessą i na Podolu. Miasto Zagrzeb pokilkakrotnie nawiedzane było tą klęską, gwałtowne wstrząśnienie powywracało budynki, niemało ludzi zabiło, a gdzie indziej spostrzeżono, że grunt popękał, potworzyły się głębo-

kie szpary i wyłobienia. Jeszcze w Grudniu ubiegłego roku donosiły dzienniki o nowém trzęsieniu ziemi w Zagrzebiu. Trzeba wiedzieć, że miasto to zbudowane jest na gruncie napływowym, to jest naniesionym przez rzekę Sawę i dla tego zapewne tak wiele ucierpiało.

Dwie wyspy na morzu Śródziemném, Ischia i Chio, także spustoszone były w roku ubiegłym przez gwałtowne trzęsienia ziemi. Na wyspie Ischia domy tak nagle się powywracały, że znaleziono pod stosami gruzów szewca, trzymającego na kolanach kopyto z nałożoną robotą, i kobietę z pończochą i drutami w ręku. W Chio zginęło 4,000 osób, a 30,000 zostało bez dachu.

Zwykle przed rozpoczęciem, lub w czasie trzęsienia ziemi, daje się słyszeć głuchy łoskot podziemny, coś nakształt oddalonego grzmotu, inni porównują go do turkotu ciężkiego powozu. Trudno bardzo wytłómaczyć, z kąd się bierze ten dziwny huk; więc jedni powiadają, że to lawa burzy się i przewraca pod ziemią, uderza o twarde ściany skał, a nie mogąc znaleźć swobodnego przejścia, wstrząsa niemi gwałtownie; drudzy utrzymują, że to skały obrywają się pod ziemią i walą w wielkie próżne obszary; inni nakoniec przypuszczają, że to są podziemne gromy, podobne do tych, jakie w powietrzu huczą w czasie burzy. Można by nawet sobie wyobrażać, że te gromy sprawiają trzęsienie ziemi. Wszystko to jednak są tylko przypuszczenia, a zawsze wkońcu trzeba przyznać, że przyczyny z których powstaje to zjawisko nie są jeszcze znane.

M. J. Z

WYPRAWA

PO SKARBY UKRYTE WŚRÓD PUSZCZY.

Przygody podróżników w Australii.

(Dalszy ciąg).

Godłem plemienia Nga-ko-Tko jest wąż. Gdy dzicy moi przyjaciele ujrzą te znaki na drzewach, otoczą was opieką i będziecie mogli zbliżyć się do nich bezpiecznie. Józef i synowie jego poznają was po tym liście, gdzie obok podpisu mojego wyrysowany jest *hobbong*, to jest figura węża. Przygotujcie się także na to, że was zapytają z polecenia mojego o niektóre szczegóły z waszego życia dziecinnego, dla sprawdzenia waszjej tożsamości. Wówczas wskażą wam miejsce, gdzie skarb jest ukryty i obejmiecie w posiadanie ten spadek po ojcu, którego zapewne nie ujrzycie już na tej ziemi. Siły moje słabną z dniem każdym, czuję, że

nie pożyję długo, błogosławię was, dzieci moje i polecam Bogu.

Przywiązany wasz ojciec.

— A to dopiero niespodziewana przygoda! — zawołałem po przeczytaniu tego listu. — Dobrze mówił przyjaciel mój, dr. Stephenson, że na prędki powrót nigdy nie można liczyć zapuszczając się w puszcze. A więc jutro wyruszamy w drogę?

— Jutro o wschodzie słońca — odrzekł major Harwey. — Wyraźne to jest zrządzenie Opatrzności, żeśmy tu dziś właśnie przybyli i możemy się przyłączyć do gromadki sir Reeda i dopomóc tym pocziwym dzieciom w odszukaniu ojca; bo nie tracimy nadziei, że ten męczennik jest jeszcze przy życiu i że potrafimy wspólnymi siłami go uratować. Ale otóż właśnie zbliża się do nas sir Reed z synowicą swoją, miss Maryą.

Tu nastąpiło nowe przedstawienie i zapoznanie z młodą Angielką. Reszta wieczoru przeszła na rozmowie. Sir Reed od lat wielu był przekonany, że brat jego nie żyje, dzieci także uważały się za sieroty i nigdy nie marzyły o tém, że mogą ujrzeć tego ojca, którego nie pamiętały wcale. Dla tego też głównie tak śpieszyli z tą podróżą, bo nie tyle im szło o skarb, na odebranie go mieli zawsze dość czasu, ile o to, ażeby nieszczęśliwego wygnańca zastać jeszcze przy życiu.

IV.

Dalej w drogę. — Opis karawany. — Mój wierny Cyryl. — Puszcza australijska. — Polowanie na Kangura.

Dzisiaj o naznaczonej godzinie wyruszamy w drogę, pod dowództwem sir Reeda. Na czele naszej karawany postępuje sześć wozów ładownych, każdy w dziesięć dzielnych koni zaprzężony. Dalej idzie luzem sześćdziesiąt innych rumaków, które nazajutrz mają zmienić tamte, gdyż najsilniejsze zwierzęta nie zdołałyby wytrwać długo, ciągnąc ciężary po takich drogach. Sir Reed ma pod tym względem wielkie doświadczenie i wszystko obmyślił bardzo przezornie i mądrze. Dnia dzisiejszego mamy ujechać czterdzieści kilometrów, kierując się ciągle ku północy, wieczorem rozłożymy obóz. Korzystam z chwili swobodnej, gdy wszyscy są zajęci ostatnimi przygotowaniami do drogi, aby pod świeżem wrażeniem opisać w kilku słowach, jak wygląda nasza karawana, a przedewszystkiem przedstawić wam, czytelnicy, nieodstępny mojego Cyryla, wiernego towarzysza, który od lat dwunastu przebiega wraz ze mną różne strony świata.

Wozy naładowane są głównie zapasami żywności. W Australii nigdy z wieczora przewidzieć nie można, czy się nazajutrz dostanie cośkolwiek

do jedzenia po drodze. Gromadka nasza, z dwudziestu osób złożona, zabezpieczona jest od głodu najmniej na sześć miesięcy. W spiżarni naszej wszystkiego po troszę się znajdzie: suchary; kawa, cukier, mięso solone i wędzone, ryż, mąka, konserwy z jarzyn, wreszcie różne napoje; byle tylko wozy nie ucierpiały, na niczem nam zbywać nie będzie. Oprócz tego, wieziemy z sobą kilkanaście baryłek próżnych; zapuszczając się w puszcę nieznaną, gdzie nam zabraknąć może źródeł i strumieni, napełnimy je wodą na wszelki przypadek. Czterech ludzi na koniach poprzedzać nas będzie, mając polecenie, aby w razie najmniejszego niebezpieczeństwa, lub napotkania po drodze jakiegokolwiek przeszkody, natychmiast zawracali i dawali znać o tém dowódcy. Zabieramy z sobą także wyborne płótno nieprzemakalne do przykrywania namiotów w razie deszczu, a nie zapomniano i o podróźnej pościeli.

W razie napadu dzikich krajowców, mamy wszyscy podostatkiem broni, sir Reed przygotował dla każdego z nas karabin, siekierkę, nóż myśliwski i rewolwer, a kul i prochu naładował zapas porządny. Osobny wóz wiezie amunicją w skrzyniach nieprzemakalnych; nakoniec sir Reed zabrał nawet z sobą małą armatkę, kartaczoownicę o dwudziestu kilku strzałach, którą jeden człowiek może ciągnąć i nabić w przeciągu minuty. Doświadczony i przezorny nasz dowódzca przygotował się także na wypadek, gdybyśmy napotkali po drodze większą rzekę, trudną do przebycia w bród. Jeden wóz wielki ma boki wyłożone lekką blachą i dno zaokrąglone nakształt łodzi; z największą łatwością można go na statek zamienić, zdejmując z kół i spuszczać na wodę. Pomiedzy przyborami, spoczywającemi na dnie jego, znajduje się maszt, żagiel i kilka wiosł. Na tym statku, mającym dwanaście metrów długości, można bezpiecznie przewieźć wszystkie ciężary, resztę wozów, ludzi i konie.

A teraz musicie się bliżej zapoznać z towarzyszem moim, Cyrylem. Godny on jest ze wszech miar szacunku i życzliwości waszój, co do mnie, jestem pewny, że i w tój wycieczce, tak, jak we wszystkich dawniejszych, które odbywał wraz ze mną, wyświadczy mi niejedną przysługę; Cyryl jest mlecznym moim bratem; przyszliśmy obaj na świat jednego dnia, trzydzieści dwa lata temu, w pięknej wiosce nad brzegiem Loary. Od kolebki nie rozstawaliśmy się prawie. Wielki to był smutek dla Cyryla, gdy mnie oddano do szkół do poblizkiego miasta; biedny chłopak nie mógł zrozumieć okrucieństwa moich rodziców, którzy mi kazali długie godziny wysiadywać na ławkach szkolnych, gdy czas ten mógł być z daleką większą

korzyścią użyty na wynajdowanie gniazd ptasich na drzewach i łowienie raków w strumyku. Muszę wyznać, że i ja po części dzieliłem pod tym względem zdanie mojego przyjaciela. Ale za to, cóż to była za radość, gdy nadeszły wakacje! Ojciec Cyryla był strzelcem w dobrach moich rodziców; staruszek miał słabość do mnie i wszelkich starań dokładał, aby mi żadnych rozkoszy nie zabrakło w czasie krótkiego pobytu na wsi. Nigdy nie zapomnę tój chwili, gdy włożył mi w ręce swoją strzelbę, pocisnął cyngiel moim palcem i wśród obłoczku białego dymu ujrzałem spadającego z gałęzi biednego, niewinnego wróbelka. W owym dniu pamiętnym pasowany byłem na myśliwego.

Mieliśmy obaj piętnaście lat zaledwie, gdy na Cyryla spadły wielkie nieszczęścia; stracił w krótkich odstępach czasu ojca i matkę, został zupełnym sierotą. Dobra moja matka wzięła go pod swoją opiekę, odtąd mieszkał stale w naszym domu i traktowany był z taką serdecznością, jak gdyby należał do rodziny. Od tój pory upłynęło lat kilkanaście, przychylność poczciwego chłopca dla mnie nie zmieniła się wcale, przeciwnie ciągle wzrastała z wiekiem.

Poznawszy przymioty wiernego mego towarzysza, zechcecie może mieć także dokładniejsze wyobrażenie o jego powierzchowności. Cyryl ma postać okazałą, wzrost niepospolity, pięć stóp i dziesięć cali wysokości, siła tego olbrzyma stosowna jest do jego wzrostu, a twarz o rysach wyrazistych posiada wszystkie cechy roztropności, szczerści i szlachetności. Nie potrzebuję dodawać, że syn dzielnego strzelca z pałaszem i ze strzelbą umie się po mistrzowsku obchodzić. Łączy on w sobie rycerską odwagę z prostym chłopskim rozumem. Zawsze spokojny i pewny siebie, gotów jest na wszelkie niespodzianki i nic go zbyt nie dziwi. Ile razy odezwałem się do niego.

— Cyrylu, wyruszamy w drogę.

— A gdzie, proszę pana? — pytał najubożniej.

— Do Meksyku, albo do Indyj, albo do Afryki.

— Aha! znów popłyniemy za morze. Biedne pieski, one tak nie lubią tych morskich podróży.

— Będą miały wszelkie wygody, nie pożałuję pieniędzy, byle im dobrze było.

— Aha, pieniądze; dobrze to mówić, ktośby pomyslał, że dukaty u pana z ziemi wyrastają.

— Ba! tybyś chciał mnie na skąpcza wykierować. Ale nie mówmy już o morskiej podróży, te niewygody prędko przeminą, za to, jak się na ląd dostaniemy, będziesz pewnie zadowolony, zapolujesz sobie swobodnie po lasach i łąkach niezmiernych, a nigdzie po drodze nie napotkasz tych

napisów, których tak nie lubisz: „Zabrania się polować“. O, tam huk zwierzyny, wszystko znajdziesz, co tylko zechcesz.

— No, to dobrze; biorę się do pakowania rzeczy.

Pocziwiec ożywia się nagle, oczy jego błyszczą radością, zaczyna zbierać śpiesznie moje rzeczy i wkrótce obaj gotowi jesteśmy do drogi. Przed każdą podróżą powtarza się taż sama scena. Ani na morzu, ani na lądzie, nic go nie zadziwia. Gdy po raz pierwszy wypłynął na ocean, rzekł z uśmiechem:

— Oj oj, co tu wody — a gdy się straszna burza zerwała, mówił, pokręcając głową: — A to dopiero wichura!

Widok wspaniałej roślinności zwrotnikowej nie wprawiał go w zachwycenie, dowodził mi najpoważniej w świecie, że to wszystko nie warte naszych jabłoni, śliw i wisien. Kto wie, może i miał słusność. Obaczywszy Chińczyków w długich sukniach, z warkoczami, śmiał się do rozpuku, tak mu się śmieszni wydali. Teraz, gdy roztoczyły się przed nim rozległe łąki australskie, pocziwy mój Cyryl westchnął i kilka razy powtórzył:

— Co to za szkoda; tyle ziemi się tu marnuje. A jakby tu chleb zarodził, żeby tak pługi zapuścić w ten czarnoziem...

Zamorskie kraje nie budziły w nim żadnych nadzwyczajnych wrażeń, a chociaż z ochotą puszczal się w podróż, z radością zawsze powracał do rodzinnej ziemi.

A teraz, zapoznawszy was z pocziwym moim Cyrylem, muszę wam przedstawić z kolei i resztę naszej gromadki. Major Harwey zabrał z sobą wiernego swojego Toma, owego Australczyka, którego od śmierci niegdyś uratował. Orszak sir Reeda składa się z Anglików i Niemców; są to wszystko osadnicy, którzy pod jego rozkazami pracują przy trzebieniu lasów, a raczej krzaków, porastających grunta. Jeden z nich, Niemiec, nazwiskiem Szefer, średnich lat mężczyzna, o rysach pospolitych, patrzący ciągle z podębła, dziwnie mi się niepodobał od pierwszego wejrzenia, a i Cyryl podziela moją antypatyą i odwraca się niechętnie, ile razy Niemczyko zbliży się do niego. A jednak sir Reed ceni wysoko Szefera, często nawet rady jego zasięga, ufając jego doświadczeniu i roztropności. Niechciałbym się uprzedzać do niewinnego człowieka, ale ponieważ pierwsze wrażenie rzadko kiedy mię zawodzi, jak nieraz się o tym przekonałem, postanowiłem mieć Niemca na oku.

Zapomniałem powiedzieć, że miss Marya, synowica sir Reeda, jedzie także z nami. Odważne dziewczę chciało koniecznie towarzyszyć braciom

w nadziei odszukania ukochanego ojca. Wierna służąca, imieniem Kelly, nie odstępowała swojej pani, podobna w tém zupełnie do mojego Cyryla. Dwaj bracia, Edward i Ryszard, od razu pozyskali moje serce, miłą powierzchownością i przymiotami duszy, które malują się w każdym słowie i w całym postępowaniu młodzieńców. Przywiązanie ich do siostry, czułość, z jaką o ojcu wspominają, uszanowanie dla stryja, świadczą dostatecznie o sercu ich i umyśle.

Cel naszej podróży, oznaczony jest bardzo dokładnie w liście, a raczej testamencie wygnańca. Plemię Nga-ko-Tko, które strzeże jego skarbów, zamieszkuje na punkcie zetknięcia 135 stopnia długości geograficznej z 20 st. szerokości. Miejscowość ta oddalona jest od osady Trzech Źródeł na 450 mil, czyli 1,800 kilometrów. Nie możemy przebywać na dzień więcej nad trzydzieści kilka, najwyżej czterdzieści kilometrów, nie licząc różnych nieprzewidzianych przeszkód. A zatem daj Boże, żebyśmy za dwa miesiące przybyli na miejsce.

Najpierw zmierzamy prosto do rozkosznej okolicy, gdzie płynie największa rzeka australska, Murray; miejsce, gdzie wpada do niej jeden z głównych dopływów, zwany Morrumbidge, odległe jest o sto mil od Melbourne. Posuwając się wzdłuż malowniczych wybrzeży Murrayu, napotkamy drugi dopływ, Darling, który przecina swym biegiem 140 stopień długości geograficznej. Dla bezpieczeństwa będziemy się trzymali o ile możności znanych rzek i strumieni, które najdokładniej pooznaczał na mapach podróżnik Burcke. Od rzeki Darling zobczymy więc nieco na lewo i dostaniemy się do jeziora Białego. Nie obawiamy się zabłądzić; w nocy gwiazdy nam wskażą kierunek naszej drogi, a oprócz tego mamy różne przyrządy, używane na okrętach, busole, chronometry, sekstanty. Codziennie najstaranniej oznaczamy położenie miejsca, w którym obóz rozkładamy i szukamy go na mapie. Będziemy przechodzili obok jeziora Gregor gdzie nieustraszony podróżnik Burcke zakończył życie. Znowu zobczymy na lewo i może posuniemy się aż do jeziora Eyre, tego wewnętrznego morza australskiego, którego granice od wschodu i północy nie są jeszcze dokładnie oznaczone. Następnie zapuścimy się w rozległą puszcę, pokrytą piaskiem i nagiemi głazami. Niebezpieczna ta przeprawa wymagać będzie największej ostrożności i przezorności.

(D. c. II).

Szara da (Różia).

Pierwsza i piąta — syberyjska rzeka,
Ze wzgórz Bajkalskich na równiny spada,
Przez Irkuck, Jakuck, do morza ucieka,
Śród jęj koryta wysepek gromada.
Drugie i czwarte śpiewają hymn w rymie,
Pisał je Książnin, Trembecki z innymi.
Trzeci — napisał pieśń o naszej ziemi;
A wszystko — imię.

Łamigłówa kryształowa (Kazimierz Pomian).

1. Litera.
2. Stan przemijający.
3. Ubior kapłański.
4. Miasto w Polsce.
5. Imię kobiety.
6.
7. Ulubiony poeta młodego wieku
8. Imię kobiety.
9. Potrawa z mąki.
10. Wykrzyknik.
11. Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko znakomitego poety.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go.

Łamigłówa kryształowej.

Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem,
Za miasto, pod słu p, na wzgórek;
Tam pod cudownym kłęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.

Krzyża z podstawą.

S
Y
B A R O N
O
K
O
E M S
S A L O N
K O R A L I K.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryni P. w Chwoszczówce. Oba liściki odebrane; odpowiedź stanowcza byłaby jeszcze zawczesna; troszkę cierpliwości.

Stasi P. Rubelka zebranego w gronie dobroczynnej dziatwy

odesłano do Chęcín. Donosiliśmy pokilkakrotnie, że maszyna dzięki łaskawym ofiarodawcom już oddawna kupiona. Prosimy więc, aby kochani nasi czytelnicy odtąd na inne cele pieniądze swoje przeznaczali. O komedyjce pomyślmy.

St. G. Zagadka trafnie rozwiązana. Bardzo to nas cieszy, że kochany nasz korespondent z taką przyjemnością czytuje pogadanki naukowe, bo znamy wielu czytelników, którzy poprzestają na powiastkach, stroniąc od poważniejszych przedmiotów.

Brulkowi. Dziękujemy za miły liścik i cieszymy się, że cho-roba już dzięki Bogu przeminęła. Rubla rozdzieliliśmy pomiędzy ubogą panienkę i pilnego chłopczyka. Mamie donosimy, że kurs nauk Jeskego, z 14 tomów złożony, kosztuje 11 rs. 30 kop.

Stefci M. w Borówce. Ile razy zapukamy do poczciwych serduszek naszych czytelników, zawsze nam gotowością swoją wielką przynoszą pociechę. Z nadesłanych 5-u rubli pracowita panienska będzie mogła kupić coś pożytecznego dla rodzeństwa, bo maszynę już kupiła dla siebie.

Panu A. W. Otrzymanych 5 rs. dołączono do funduszu, zebranego dla panienski z Chęcín.

Marylce M. w Fedziakówce. Smutek w tém życiu częścię nas nawiedza od radości, ale z wolą Boga zawsze się zgodzić należy. Modlitwa i praca, oto najlepsza pociecha. Zawsze też przewycięzać się potrzeba w smutku, aby nie powiększać boleści dobrej mamy, bo jęj zdrowie i spokój niezbędne są dla dzieci.

Mani M. Z drobnych datków, szczerem sercem ofiarowanych, złożyła się bardzo znaczna sumka, która starczyła na maszynę i na inne potrzeby tej poczciwej rodziny. Za nadesłanego w tym celu rubla serdecznie w imieniu panienski z Chęcín dziękujemy.

Maryni Cz. Odgądnienie dość trudnej zagadki jest zupełnie trafne, a przytęm porządnie i piękną kaligrafią napisane, za co pochwała się należy.

Krysi G. Rubla dla panienski z Chęcín i 50 kop. dla Styka oddaliśmy do rąk właściwych. Dziękujemy bardzo za miłą dla nas wiadomość, że *Wieczory* niecierpliwie są wyglądate i czytane z zajęciem. Szkoda, że tak dawna czytelniczka pierwszy raz dopiero zebrała się do nas napisać. Dla nas przy rozlicznych trudach i zajęciach odczytywanie takich liścików kochanych najmilszą jest rozrywką i odpoczynkiem.

P. Br. Sid.... Nie przypominamy sobie, abyśmy kiedykolwiek liścik z podobnym podpisem otrzymali, bo z pewnością nie pozostałby bez odpowiedzi. Za wyrazy w których się mieści tyle dla nas życzliwości i uznania, z całego serca dziękujemy. Wielka to pociecha i zachęta do dalszej pracy nużącej a często i niewdzięcznej. Historia Zaremby jest potocznym i łatwym stylem opowiadana, sądzimy, że może być stosowna dla jedenastoletniej dziewczynki.

Panu M. R. Sprawozdawca Gazety Warszawskiej mógł się omylić najniewinniej, zapewne go w błąd wprowadziło ogłoszenie nasze, w którym wymieniłmy Holtzwartha, jako główne źródło użyte do napisania Historii dla dzieci, wydanej naszym nakładem. Wydawcy polskiego przekładu Holtzwartha zwrócili uwagę naszą na niestosowność tego ogłoszenia, które niejednemu mogło podać myśl, że historia Zaremby jest streszczeniem tego przekładu. Tymczasem historia ta jest w rzeczy samęj pracą zupełnie oryginalną, a z Holtzwarthem, oprócz tendencji, nic nie ma wspólnego, o czém łatwo przekonać się można, porównyując oba te dzieła.